

Ewa Kołogórska

Ewa Kołogórska - aktorka, reżyser (kończyła studia u Leona Schillera. Grała i reżyserowała w wielu teatrach; w latach 50. pojawiła się w Szczecinie).

Ewa - była (jakże boli ten czas przeszły) wspaniałym człowiekiem wielkiego serca. Niestety, nie widziałam Jej w żadnej roli scenicznej, ale w moim życiu grała rolę pierwszoplanową. Poznaliśmy Ją tuż po przyjeździe do Szczecina; była wtedy prawą ręką Tadeusza Bursztynowicza w najlepszym okresie szczecińskiej opery.



Zniewalający uśmiech, promienne oczy - zachęta do współlistnienia... Nawet nie pamiętam, jak zrodziła się między nami ta przyjaźń serdeczna; łączyło nas wspólne zainteresowanie muzyką, teatrem, lekturami, pięknem natury... To Ona zapoznawała nas z urokiem podszczecińskich lasów, wiedziała, gdzie kwitną wiosną najpiękniejsze bzy, gdzie są najserdeczniejsi ludzie w okolicznych leśniczówkach, gdzie są tajemne uroczyska pełne grzybów, saren i ptaków. Kochała przyrodę, koty, psy, a nade wszystko ludzi. Była ciekawa świata - ileż wspaniałych wycieczek odbyliśmy razem!

Długo nie wspominała o koszmarze przeszłości i nagle w pachnącym, rozgrzanym słońcem sosnowym lesie - otworzyła się i mówiła, mówiła, tak jakby chciała wyrzucić z pamięci ten ból. Potem spotykała się z młodzieżą szkolną, by przybliżyć im ten niewyobrażalny koszmar obozowy. Powstał wtedy program o Niej i film zrealizowany przez młodzież jednego ze szczecińskich liceów.

Ewa nie miała swojej rodziny - wszyscy Jej bliscy zginęli w Holocauście, więc szczególnym uczuciem obdarzała młodzież i dzieci; przywiązywała się ogromnie do dzieci i wnuków swoich przyjaciół. Mało tego - wybrała sobie rodzinę Bilskich - Anię, Pawła i ich dzieci - i zdecydowała, że urna z Jej prochami zostanie w Drawnie na małym wiejskim cmentarzyku w lesie, nad pięknym jeziorem.

Ewa miała rzadko spotykany dar zniewalania ludzi i... niesienia im pomocy w najtrudniejszych momentach życia. Wszyscy odwzajemniali Jej to głębokim uczuciem i przywiązaniem.

To właśnie Ona pomagała mi wracać do życia po najboleśniejszej stracie - śmierci mojego męża muzyka i dyrygenta Stefana Marczyka. Robiła to ogromnie delikatnie i tak jakoś niedostrzegalnie.

Ta drobna serdeczna Istota była podporą wielu... Nie umiem sobie wyobrazić, że teraz po naciśnięciu zakodowanego numeru w słuchawce telefonu odezwie się już suchy, obcy, nic nierozumiejący głos.